Rozdzial 13: Blacha

Ponieważ emocji ostatnio nam nie brakowało, po tym jak wsiedliśmy do przedziału, od razu znów zasnęliśmy. Przebudziłem się chwilę po siódmej. Marcel i Julia jeszcze spali. Rozejrzałem się po wagonie i szybko mój wzrok spotkał się ze wzrokiem naszej współpasażerki.
- Dzień dobry - wypaliłem bez dłuższego zastanawiania się czy Pani rozumie po polsku.
- A dzień dobry - usłyszałem w sympatycznej, wręcz opiekuńczej odpowiedzi - tak sami podróżujecie?
No tak, o co innego mogła zapytać. Trójka dzieciaków podróżuje bez rodziców. Z drugiej strony Julia wyglądała niemalże jak dorosła ale może to była jej zwykła troska.
- Tak się złożyło, często podróżujemy w trójkę. Można powiedzieć, że mamy doświadczenie - gadałem tak naprawdę co mi ślina na język przyniesie żeby nie wzbudzać podejrzeń i nie zachęcać do pytań. Mimo wszystko rozmawialiśmy jeszcze chyba przez godzinę - dosłownie o wszystkim i o niczym. Okazało się, że Pani podróżowała do córki, lekarki, która kilka lat temu wyprowadziła się do Austrii żeby zrobić specjalizację z medycyny płodowej. Tego jeszcze w życiu nie słyszałem, ale tak mnie zainteresował temat, że

moje obawy o przebieg rozmowy zniknęły i sam zadawałem pytanie za pytaniem. To było niesamowite - obecnie lekarze są w stanie pomagać dzieciom z wadami gdy te są jeszcze w brzuchu u mamy! Podobno, w niektórych przypadkach, mogą wtedy urodzić się niemalże zdrowe. Pomyślałem, że na pewno opowiem o tym rodzicom jak tylko się znów z nimi spotkamy. W końcu obudziło się moje rodzeństwo i około godziny dziesiątej pożegnaliśmy się z miłą Panią, a następnie wysiedliśmy w Innsbrucku. Mieliśmy szybką przesiadkę i chwile później wsiedliśmy do autobusu już bezpośrednio do Trydentu. Wszyscy byliśmy w swoich myślach i podróżowaliśmy w ciszy.

Około piętnastej dotarliśmy na miejsce. Kolejny przystanek, kolejny kraj - Włochy. Co jeszcze przed nami? Zastanawiałem się w myślach.
- Słuchajcie, wpisałem współrzędne w GPS i wygląda, że możemy ruszyć wzdłuż drogi. Potrzebujemy dostać się do nieodległej miejscowości Stenico pod którą leży nasz cel. To kawałek, ale że Włosi są uprzejmi, to może jeszcze złapiemy stopa - powiedział Marcel, a Julka przytaknęła, więc ruszyliśmy.
To było niesamowite, jeszcze tydzień temu we Wrocławiu spadł ostatni śnieg i chodziliśmy w kurtkach, a teraz było pełne lato. Nie spodziewałem się, że w kwietniu będę na wakacjach. No cóż, rodzice zawsze powtarzali, że w każdej sytuacji trzeba starać się szukać pozytywów, a jeśli to już zupełnie niemożliwe, to po prostu pobyć ze swoim smutkiem. Ja w tej sytuacji wolałem szukać

pozytywów, więc zamarzyła mi się jeszcze kąpiel w jakimś krystalicznie czystym morzu czy górskim stawie. W końcu byliśmy, we Włoszech, słonecznej Italii! Nigdy nie zapomnę jak po licznych pobytach nad polskimi, z reguły niezbyt przejrzystymi jeziorami, po raz pierwszy pojechaliśmy do Chorwacji - to był dla mnie raj i to miejsce wyglądało bardzo podobnie!

Po około dwóch kilometrach spaceru poczuliśmy, że tak naprawdę nie tylko, że jest lato, ale jest po prostu upalnie. Julka wyciągnęła kartkę, napisała na niej Stenico i nienarzucająco pokazywała je kolejnym przejeżdzającym kierowcom. Faktycznie, po niedługiej chwili zatrzymał się koło nas biały Fiat Ducato, z którego krzyknął do nas starszy Włoch:
- Dai, salite!
- Grazie - odpowiedzieliśmy chórkiem i wsiedliśmy. Pan nie przestawał do nas gadać po włosku, nikt z nas nic nie rozumiał, ale że ciągle się uśmiechał i kontynuował, to tylko odwzajemnialiśmy uśmiech i kiwaliśmy głowami. W którymś momencie usłyszeliśmy “Papa Giovanni Paolo Secondo” i stało się jasne, że jakoś rozpoznano w nas Polaków. Papież Jan Paweł II zmarł przed moimi narodzinami, ale musiał być wielkim człowiekiem skoro tak często i w tak licznych miejscach o nim mówiono. Kolejny temat do zgłębienia, pomyślałem!
Chwilę później, jak umieliśmy tak uprzejmie podziękowaliśmy za transport i wysiedliśmy w małym miasteczku Stenico. Typowe wąskie, włoskie uliczki, po jednej strony góry, po drugiej widoczne

dachy małych domków i … ten budynek! Ten, który kilka dni wcześniej oglądaliśmy na panoramie w mapach. To był po prostu chyba jakiś średniowieczny zamek, pomyślałem. Wyglądał … dostojnie, żeby nie powiedzieć lekko upiornie. Marcel wskazał palcem w przeciwnym kierunku i ruszyliśmy przez polanę, delikatnie do góry. Słońce było już nieco słabsze, ale nadal było bardzo gorąco.

- Zostało jakieś pięcset metrów w linii prostej i będziemy na miejscu. Czymkolwiek ono nie jest - dodał.

W głowie intensywnie kotłowały mi się pytania “czy ktoś na nas tam czeka?”, “czy tam jest bezpiecznie?”, “co zrobimy jak tam dotrzemy?”, “czy tam może są nasi rodzice”? Aż w końcu na głos spytałem:

- Słuchajcie, ale przed nami jest już tylko gęsty las i droga idzie jeszcze bardziej do góry. Jesteście pewni, że dobrze idziemy?

- Tak przynajmniej pokazuje GPS - odezwała się w końcu Julia, która spoglądała na tablet przez ramię Marcela.

Las był naprawdę gęsty i żeby do niego wejść musieliśmy uzbroić się w kije żeby utorować sobie przejście. I znów wspomnienie - dokładnie tak jak wchodziło się do zagajników gdy jeździliśmy na grzyby! Tylko tym razem ani to nie była Polska, ani nie byliśmy na grzybach … dotarliśmy tu by zmierzyć się z przeznaczeniem. Brzmiało to dość poważnie, ale tak właśnie wtedy pomyślałem.

- Jeszcze 50 metrów - powiedział zasapany Marmar i skosił kolejne gęste krzaki.

Przeszliśmy jeszcze kawałek i zatrzymaliśmy się.

- To tu. Dokładnie przed nami - Marcel wskazał palcem na … kawałek ziemi na której bezładnie leżały gałęzie i trochę mchu. Nic więcej tam nie było - tak, to na pewno tu. Zobaczcie, to niby leży tak przypadkowo, ale tak naprawdę to jest tylko jakiś kamuflaż.
W tym momencie Marcel zaczął odsuwać nogą gałęzie, aż w końcu dotarł do jakiejś metalowej powierzchni.
- Zobaczcie, to jakaś blacha! - Julia niemalże krzyknęła i wszyscy odgarnialiśmy w pośpiechu to co ją jeszcze przykrywało.
Zobaczyliśmy leżące na ziemi, dwie prostokątne, zardzewiałe blachy i wąski prześwit po środku. Wyglądało to jak jakieś ukryte wejście.
- Patrzcie na kostkę! - zawołał Marcel i wyciągnął ją przed siebie - ona zaczyna nadawać! To znów zera i jedynki, to znów kod binarny. Zapisujcie … 01001011 01001110 01001111 01000011 01001011 00100000 01001111 01001110 01000011 01000101. Czyli KNOCK ONCE. Zapukaj raz.
Popatrzeliśmy się na siebie.
- To może być wejście. Wejście do Bezpiecznego domu - powoli, poważnie podsumowała Julia.
Ja natomiast nie chciałem czekać już ani chwili dłużej i uderzyłem pięścią w blachę. Po okolicy rozległo się echo jakby ktoś uderzył w dzwon Zygmunta. Mijały sekundy. Potem minęła minuta.
Czekaliśmy wpatrując się w domniemane wejście i co chwile rozglądaliśmy się dookoła. Cisza. Zupełna cisza. Nic się nie działo.

Aż do momentu gdy przez wąską szparę wyraźnie przebiło światło,

a wejście zaczęło powoli i majestatycznie się rozsuwać...
